

ALEKSANDRA RUMIN

Zbrodnia *po irlandzku*



Copyright © 2019 ALEKSANDRA RUMIN
All rights reserved / Wszelkie prawa zastrzeżone

Copyright © WYDAWNICTWO INITIUM
Wszelkie prawa zastrzeżone

Redakcja: PIOTR CHOJNACKI

Korekta: KATARZYNA KUSOJĆ

Koncepcja okładki: PATRYK LUBAS

Wykonanie ilustracji okładkowej: DOMINIK BRONIEK

DTP: PATRYK LUBAS

Współpraca organizacyjna: ANITA BRYLEWSKA, BARBARA JARZĄB

WYDANIE I

ISBN 978-83-62577-98-9



Wydawnictwo INITIUM

www.initium.pl

e-mail: initium@initium.pl

facebook.com/wydawnictwo.initium

Druk i oprawa: DRUKARNIA WYDAWNICZA IM. W. L. ANCZYCA S.A

Rozdział 1

Sierpniowy poranek był wyjątkowo chłodny.

Rudolf Stanisławski żałował, że dał się namówić na przebieżkę po pobliskim lasku, bo ortalionowy cienki dres, który kupił w luksusowym sklepie z odzieżą sportową, nie chronił go przed przejmującym zimnem.

Koniec lata, psia twoja mać, pomyślał ze złością i spojrzął wymownie na przyspieszającego kompana, ale osiemdziesięcioletni Henryk Górski nic sobie nie robił z gwałtownego załamania pogody.

– Jeszcze jedno kóleczeko, panie Rudolfie? – zapytał starszek i demonstracyjnie ściągnął przeponą koszulkę bez rękawów, ukazując światu muskularny tors.

– Innym razem, panie Henryku – wycedził Stanisławski, bo stracił czucie w palcach i zaczynał szczekać zębami. – Praca czeka! – próbował się usprawiedliwić, bo nie chciał wyjść na mięczaka przed atletycznie zbudowanym sąsiadem.

– W takim razie nie zatrzymuję – dodał z uśmiechem emerytowany generał Henryk Górski, pseudonim Chyży, i ruszył ścieżką prowadzącą w głąb lasu. – Widzimy się w przyszłym tygodniu! – krzyknął na pożegnanie i zniknął za zakrętem.

– Po moim trupie – wyszeptał Rudolf. – Niedawno stuknęła mi pięćdziesiątka! Kiedy tak zramolałem? – zapytał przelatującego obok motylka, ale kolorowy owad nie raczył udzielić mu odpowiedzi.

Mężczyzna westchnął i ruszył truchtem w stronę domu, bo marzył o filiżance gorącej herbaty z wysokoprocentową wkładką.

Warszawa dopiero budziła się ze snu.

Ulice świeciły pustkami, po chodnikach przemýkali nieszczęśliwi posiadacze czworonogów oraz przedstawiciele lokalnej bohemy, zwani pieszczotliwie menelami, którzy wracali do domu po nocnych wernisażach pod chmurką.

Rudolfowi została ostatnia prosta, marne kilkaset metrów, ale ledwo powłóczył nogami. Postanowił skrócić sobie drogę i skręcił w Kasprowicza. Od razu dostrzegł, że przed wejściem do biura stoi pani Kasia i zadziera głowę, a to oznaczało kłopoty.

– Dzień dobry! – wykrzyknął nieszczęsny biegacz i spojrział na zegarek. – Dopiero wpół do siódmej! Co pani tu robi?!

– Dzień dobry, szefie – odparła Katarzyna Malinowska i poprawiła wściekle czerwony żakiet. Mimo wczesnej pory jej długie włosy zostały upięte w fikuśny kok, a usta starannie wyszminekowane. Sekretarka z dziesięcioletnim stażem wyglądała jak marzenie.

– Zadzwoń! Kisiulewska. W nocy ukradli „H”! – Wskazała ręką na fantazyjny szyld złożony z pomarańczowych liter monstrialnych rozmiarów.

– A to granda! – Rudolf nie krył zdenerwowania i ze złością lustrował miejsce przestępstwa. – Świnie nie ludzie!

Nie dość, że w zeszłym miesiącu buchnęli nam „W”, o nie! Teraz położyli łapy na „H”! Ta okolica schodzi na psy, pani Kasiu. Od początku twierdziłem, że to całe metro przyniesie nam więcej kłopotów niż korzyści. Nazjeżdżało się tego tałatajstwa i teraz mamy skutki! Zaraz... – Przyjrzał się uważniej ścianie nad wejściem. – Domalowali?!

– Domalowali, szefie! – Kasia cichutko zachichotała. – Mówiłam, że pomysł z oddzielnymi literami nie był najlepszy, bo łatwiej takie gwizdnąć! Całości by nie odkręcili, ale z pojedynczymi radzą sobie bez najmniejszego kłopotu. Fachowców nam trzeba. Znowu będziemy czekać w nieskończoność, aż artysta weźmie się do roboty...

Litery ginęły seriami.

Wiedzieli o tym właściciele lokalnych kafejek i sklepików. Najpierw padło na niezwykle popularny w okolicy barek „U Wujka”. Ktoś ukradł mosiężną literę „W” i w pustym miejscu nabazgrał różowym sprayem „CH”. Było z tego trochę śmiechu, przyjechała nawet telewizja, a przechrzczony punkt gastronomiczny dostał swoje pięć minut chwały.

Dwa dni później zniknęło kolejne „W”. Tym razem złodziej żartowniś podniósł rękę na przedsięwzięcie biznesowe Rudolfa. Wszyscy mówili, że „Hej Wakacje” to głupia nazwa dla biura podróży, ale on się uparł i od razu zamówił wymyślny szyld, którego głównym zadaniem było przyciąganie klienteli. Nikogo nie przyciągnął, bo stali klienci woleli robić rezerwacje przez internet i tylko nieliczni fatygowali się na Bielany. Utrata „W” nie odbiła się na obrotach firmy, ale napsuła krwi pracownikom.

„Hej akacje” budziło zdziwienie wśród przechodniów. Niektórzy myśleli, że to nowa siedziba sklepu ogrodniczego, który dawniej mieścił się przecznicę dalej i cieszył sporą popularnością, więc zachodzili do biura i dopytywali o najnowsze sadzonki. Rudolf się wściekał, ale artysta od szyldów okazał się nieugięty, bo prawdziwa sztuka wymaga czasu.

Minęły trzy tygodnie, napis był znowu kompletny, ale znad sklepu spożywczego po drugiej stronie ulicy zniknęło „H”. Nikt nie miał wątpliwości, że właśnie zaczęła się nowa seria. Rudolf żył w stanie ciągłej niepewności, aż wreszcie stało się najgorsze.

– Kisielewska ma z mieszkania świetny widok na całą ulicę, a że cierpi na bezsenność od dnia, w którym buchnęła jej „K”... – Kasia pozwoliła sobie na uśmiech, bo nadal pamiętała, jakiego rabanu narobiła kierowniczką sklepu zoologicznego „Kurka wodna”. Żart złodzieja odebrała bardzo osobiście i publicznie rozpaczła, że na stare lata zrobiono z niej burdelmame. – Wandala nie widziała, ale od razu chwyciła za telefon, żeby mnie powiadomić, więc przyjechałam.

– Dziękuję, pani Kasiu.

– Co teraz zrobimy?

– „Gej Wakacje”? Cholerny bandyta! – grzmiał załamany właściciel. – Musimy zadzwonić do tego przekłętego artysty, a na razie zakryjemy jakąś szmatą...

– Ale czy ja dosięgnę... – zaczęła niepewnie pracownica, bo miała na sobie najlepszą garsonkę i na samą myśl o wygibasach na wysokości robiło jej się słabo.

– Proszę przynieść drabinę ze składziku. Jestem teraz na sportowo, więc szybciotko się uwinę. Przecież nie wy-

pada, żeby się pani gimnastykowała w takim eleganckim kostiumie.

– A nie powinniśmy tego zgłosić?

– Komu?

– Odpowiednim organom. Policji, a może i wyżej. Niech w końcu złapią tę złodziejską łajzę, bo ludziom puszczają nerwy, że o stratach materialnych i moralnych nawet nie wspomnę!

– Proszę nie żartować. Nic nie mogą, nic nie potrafią zrobić. Pochodzą, pofotografują, a na końcu dostaniemy urzędowe pismo, że sprawcy nie wykryto i tym podobne bzdury. Mała szkodliwość społeczna, więc nikogo to nie interesuje. Szkoda czasu i atłasu.

Pani Kasia skinęła głową, otworzyła drzwi do biura i posłusznie poszła poszukać drabiny. Szef został przed budynkiem i wciąż jeszcze szacował rozmiar zniszczeń, gdy usłyszał za plecami piskliwy głosik:

– Na ziemię, frajerze, bo strzelam!

Zaskoczony Rudolf odwrócił się na pięcie i ujrzał bardzo młodego, barczystego policjanta. Za nim stał drugi, lekko siwiejący na skroniach, o surowym wyrazie twarzy.

– Panowie... – zaczął, ale nie skończył.

Sekundę później leżał na chodniku, a gorliwy funkcjonariusz przyciskał go kolanem do ziemi.

– Oj, Pawełku! Jak cię uczyłem?! „Stać! Policja!”, a nie od razu rzucasz się do powalania klienta. A jak to jest zupełnie niewinny obywatel, co?!

– Jak niewinny, tatuś?! Przecież w dresie jest, znaczy się, że element przestępczy!

– Nie mów do mnie „tatuś”! Przecież jesteście na służbie! Ile razy mam ci powtarzać?! – dorzucił z wyrzutem starszy z policjantów, a w myślach pomstował, że los go pokarał takim durnym synem.

– Przepraszam, tatuś, to się więcej nie powtórzy, ale skoro gnój chodzi po okolicy w dresie, to bankowo coś kombinuje, bo po co stałby przed wejściem i ogłądał litery? To na pewno ten złodziej, co go szukamy od tygodni – odpowiedział z przekonaniem młody i mocniej docisnął wrywającego się mężczyznę. Właśnie chciał go uspokoić fachowym kopniakiem pod żebra, gdy w drzwiach ukazała się pani Kasia. Rzuciła okiem na policjantów, przeniosła spojrzenie na chodnik i zobaczyła sponiewieranego szefa.

– Co pan wyprawia! – wydarła się na funkcjonariusza. – Proszę go puścić! Natychmiast!

– Szanowna pani – zaczął starszy z policjantów – właśnie trwa interwencja, a my zatrzymaliśmy groźnego przestępcę, więc gdyby była pani łaskawa...

– Jakiego przestępcę?! To jest pan dyrektor Rudolf Stanisławski!

– Są w zмовie, tatuś! – włączył się młodszy. – Jak się lala będzie rzucała, to ją podzielę pałką!

– Milcz, smarkaczu! – wrzasnął starszy, bo mina wytwornej damy mówiła mu, że wpadli jak śliwka w kompot. – Puść pana, bo zaszła straszna pomyłka.

Rudolf został podźwignięty na nogi, ale czuł się tak, jakby przejechała po nim ciężarówka.

– Złożę skargę... – wysyczał ze złością.

– I po co te nerwy, szanowny panie?

– Nawet na ochroniarzy do Biedronki was nie wezmą! – Teraz Rudolf otwarcie groził. – Do telewizji zadzwonię...

– Wykonujemy nasze obowiązki. – Starszy przestraszył się nie na żarty, bo z czwartą władzą wołał nie zadzierać. – Chodźmy, młody – rzucił po cichu do syna. – Bardzo przepraszamy!

Policjanci zwiewali, aż się za nimi kurzyło. Rudolf spojrział na dres, który po bliskim spotkaniu z chodnikiem nadał się tylko na szmaty.

– Pan idzie do domu, szefie – powiedziała Kasia. – Sama się tym zajmę... – Wskazała na odblaskową literę „G” nad wejściem.

– Nie, moja droga, mam lepszy pomysł. Proszę ją zostawić! Kto wie, a nuż zyskamy nowych klientów? Niech cała dzielnica wie, że jesteśmy otwarci na mniejszości! Każda reklama jest dobra! – rzucił sentencjonalnie i westchnął, bo poczuł się straszliwie zmęczony. – Skoczę się przebrać, pani Kasiu. O dziesiątej nawiedzi nas Baronowa Raszpła, więc o jedenastej chcę widzieć pracowników w konferencyjnej. Omówimy strategię na najbliższe tygodnie.

– Wszystkich, szefie? Pana Wawrzyńca też?

– Nie wymagam od pani rzeczy niemożliwych! – zaśmiał się Rudolf i pobiegł truchcikiem w stronę domu.

Od upragnionej filiżanki gorącej herbaty dzieliła go jedna przecznicza, którą pokonał w rekordowym tempie. Skromna, dziesięciopokojowa willa przy ulicy Lipińskiej pogrążona była w ciszy. Rudolf poszedł prosto do kuchni, bo tam miał zazwyczaj najmniejsze szanse na spotkanie żony, ale tym razem Justyna Stanisławska czaiła się za kredensem.

– Dzień dobry, kochanie! – wrzasnęła znienacka i patrzyła z satysfakcją, jak małżonkowi wypada z ręki filiżanka i roztrzaskuje się o marmurową podłogę. – Jak się trenowało mojemu misiaczkowi?

– Przez ciebie dostanę zawału! – Rudolf spojrział na Justynę ze złością, w głębi duszy życząc jej nagłej i bolesnej śmierci.

– Przepraszam, najslodszy – zaszcebiotała. – Znowu zostawiłeś telefon w przedpokoju. Dzwonił hydraulik, ale jak tylko odebrałam, to się rozłączył. Bezcelność! Ale to dziwne, prawda? Mamy problem z rurami?

– Z jedną na pewno – odpowiedział Rudolf, zanim zdążył się ugryźć w język. – To są męskie sprawy, Justyno. Wolął rozmawiać ze mną, a nie z kimś, kto się na tym kompletnie nie zna. Oddzwonię. – Złapał za telefon i pognął na górę.

Gdyby się odwrócił, zobaczyłby kpiący uśmiech, który posłała mu małżonka.

W zaciszu łazienki Rudolf sprawdził połączenia: pięć nieodebranych od „hydraulika”. Niedobrze. Wybrał numer.

– To ja, Biedroneczko – wyszeptał do aparatu. – Nie uwierzysz, co mnie dzisiaj spotkało...

Rozdział 2

Biuro podróży „Hej Wakacje”, mieszczące się na parterze wiekowej kamienicy przy ulicy Kasprowicza, miało rzeszę wiernych klientów. Z tego powodu właściciela i dyrektora w jednej osobie, Rudolfa Stanisławskiego, rozpierała uzasadniona duma. Nie ufał wielkim przedsięwzięciom turystycznym, dla których liczył się tylko zysk, a nie zadowolenie i wygoda podróżujących. W „Hej Wakacje” każdy mógł liczyć na indywidualne podejście i fachową obsługę, o którą dbali starannie wyselekcjonowani pracownicy.

Katarzyna Malinowska była prawdziwym skarbem i prawą ręką szefa. Do jej obowiązków należało organizowanie codziennej pracy biura i nadzorowanie trzech obrotowych, ale nieobliczalnych konsultantów, którzy zajmowali się szeroko rozumianą obsługą klienta.

Daniel, Dawid i Damian, czyli bielańskie „Trzy De”, ciągle coś rezerwowali, potwierdzali, przebukowywali i robili przy tym dużo zamieszania.

Za najbardziej tajemniczego pracownika Rudolfa uchodził Wawrzyniec Florczak, odpowiedzialny za pion techniczny, a więc serwisowanie komputerów i administrowanie stroną internetową. Rudowłosy informatyk zajmował nie-

wielki pokój na tyłach biura, z nikim nie rozmawiał i unikał ludzi jak ognia, ale pracował wzorowo, więc nie przejmowano się jego mrukliwością i ogólnym brakiem ogłady.

Oprócz szóstki stacjonarnych pracowników, którzy zawsze byli na miejscu, „Hej Wakacje” współpracowało z całą armią pilotów wycieczek, tłumaczy, rezydentów i innych specjalistów z branży turystycznej.

Zegar w kształcie tukana, który Rudolf przywiózł wiele lat temu z zagranicznych wojaży, wybił dziewiątą, gdy szef przekroczył próg biura. Stanisławski od razu udał się do gabinetu, bo została mu godzina na przygotowanie się do nieprzyjemnego spotkania.

Kasia dostała informację o planowanej wizycie i czekała w pogotowiu. Kiedy Baronowa Raszpla zjawiała się w „Hej Wakacje”, sekretarka serdecznie ją przywitała, a potem poprowadziła do salki konferencyjnej i zaproponowała filiżankę kawy.

Rudolf szykował się do ataku.

– Szanowna pani Downar-Wiśniowiecka! Jakże się cieszę z pani odwiedzin! To prawdziwy zaszczyt, najprawdziwszy! – zaczął przymilnie.

– Niech pan przestanie tak bezwstydnie kadzić starej kobiecie, panie Rudolfie, bo naprawdę nie wypada! – odpowiedziała wytworna dama w wytartym futrze, ale ucieszyło ją podejście gospodarza.

Maria Downar-Wiśniowiecka przywykła do tego, że się przed nią dyga, więc niczego innego nie oczekiwała. Ta legendarna wręcz wyniosłość przyniosła jej mało eleganckie przezwisko. Nikt nie mówił o niej inaczej jak Baronowa

Raszpla, ale tylko za jej plecami, bo mimo zaawansowanego wieku dama budziła powszechny strach.

– Jakżebyś śmiał! Jakżebyś śmiał! Czy przemyślała pani moją propozycję?

– Nie jestem przekonana...

– Ale tak mało czasu zostało, naprawdę małątko. Last minute, więc i cena będzie przystępniejsza. Nie dopłaci pani ani grosza!

– Koszty nie grają roli – odparła klientka, chociaż oboje wiedzieli, że to nieprawda, bo z bajecznej fortuny po zmarłym mężu niewiele jej zostało.

– Oczywiście! Ale dlaczego nie skorzystać z nadarzającej się okazji? W pakiecie dorzucimy bilety wstępu gratis...

– Nie wiem, sama nie wiem... – przeciągała, bo chciała ugrać darmowe posiłki.

– ...i kolacje, rzecz jasna. Podpisujemy umowę? – zapytał Stanisławski z nadzieją w głosie.

– Jak się nazywa ta cała wyprawa?

– „Smaragdowa przygoda”. Nasz największy hit!

– Skoro cieszy się taką popularnością, to jakim cudem nadal są wolne miejsca? Niecały tydzień przed wylotem? – odparowała Baronowa Raszpla, ale Rudolf nie wyglądał na zaskoczonego.

– To nie jest jakaś tam Tunezja czy inne wylegiwanie się na plaży dla mało wymagających turystów. Mówimy o wyjeździe dla prawdziwych koneserów, ludzi o wysmakowanych gustach. Na liście uczestników mamy samych prezesów, naukowców i przedstawicieli wyższych sfer. Nie każdemu proponujemy „Smaragdową przygodę”, tylko wy-

branym. – Dyrektor konspiracyjnie ściszył głos, jakby ci niewybrani mogli go usłyszeć.

– Ale co tam jest ciekawego do zwiedzania?

– Długo by wymieniać, szanowna pani. Program został opracowany przez naszych najlepszych specjalistów. Jedyne wyrafinowane zabytki, żadnego odpustu dla mas! Budowle sakralne, wyłącznie katolickie! A do tego piękno dzikiej przyrody i ożywczce powietrze znad oceanu!

– I trzysta deszczowych dni w roku? – zakpiła dama. – Z moimi schorzeniami...

– Obawiam się, że konkursowy voucher na niebagatelną kwotę pięć tysięcy złotych jest ważny do trzydziestego pierwszego sierpnia. Jeżeli go pani nie zrealizuje, nagroda automatycznie przepada. – Rudolf postanowił odwołać się do legendarnego skąpstwa rozmówczyni. – Tak stanowi regulamin. O tej porze roku większość miejsc jest zarezerwowana. Została nam Ghana i Senegal, ale nie śmiem proponować, no i tego rodzaju wyjazd wiązałby się z dodatkowymi kosztami...

– Tak, rozumiem. Niech będzie. Gdzie mam podpisać? – zapytała, jakby robiła Rudolfowi największą łaskę na świecie.

– Tutaj, szanowna pani. Mam dla pani pakiet klienta: broszurki, plan wyjazdu, informacje dotyczące wylotu, przewodnik. Bardzo proszę.

Baronowa Raszpla chwyciła ślicznie zapakowane pudełeczko, ale nie raczyła podziękować. Odpłynęła z salki konferencyjnej, żegnana głębokimi ukłonami znękanego Rudolfa. Kiedy zamknęły się za nią drzwi, Stanisławski odetchnął i zawołał panią Kasię.

– Jak poszło, szefie?

– Dobrze, bardzo dobrze, znakomicie. Zgodziła się na „Smaragdową przygodę”.

– Pan to umie czarować! – zaśmiała się Kasia. – Żeby tak samej Baronowej wcisnąć Irlandię, no, no! – chwaliła, bo szef naprawdę jej zaimponował.

Nowa wycieczka w ofercie biura „Hej Wakacje” okazała się jedną wielką porażką. Ludzie słyszeli nazwę i wykazywali zainteresowanie, a potem dowiadywali się, dokąd mieliby polecieć, i szybko rezygnowali. Do Irlandii można się wybrać do pracy na zmywaku, ale nie na letni odpoczynek, twierdzili ci bardziej uprzejmi. Reszta pukała się w głowę i żądała przedstawienia oferty wyjazdów all inclusive do Egiptu, Turcji czy Hiszpanii.

Rudolf tego nie rozumiał, bo wiele lat temu zakochał się w Smaragdowej Wyspie i marzył o włączeniu Irlandii do oferty biura. Dwa miesiące przed planowaną premierą na liście chętnych było dokładnie zero przecinek zero osób, a szef, ślepo wierzący w powodzenie nowego kierunku, wcześniej zarezerwował po dziesięć pokoi dwuosobowych na całej trasie przejazdu i wpłacił zaliczkę. Pieniądze miały przepaść, a cała koncepcja wziąć w łeb. Wtedy Stanisławski wpadł na szatański pomysł.

– Ogłosimy konkurs! – oświadczył pracownikom. – Wylosuje się dziesięć osób i uroczyście wręczy vouchery na dowolny wyjazd... prawie dowolny. Wawrzyniec tak zmodyfikuje naszą stronę, żeby wpisanie kodu z vouchera automatycznie przekierowywało na zakładkę ze „Smaragdową przygodą” i nie dało się zrobić samodzielnie in-

nej rezerwacji, a tymi, którzy pofatygują się do nas, zajmę się osobiście!

– A jak ktoś się będzie upierał przy innej imprezie?

– Tak mu namnożę dodatkowych opłat, że się nie pozbiera! Ludzie uwielbiają gratisy, więc nikt nie będzie kręcił nosem na darmową wycieczkę. Jestem o tym przekonany!

– Na jakich zasadach będzie przebiegało losowanie? – dociekali konsultanci, bo sami mieli chrapkę na bezpłatne wakacje.

– Niech was o to głowa nie boli! Wawrzyniec opracował jakiś specjalny algorytm. Nie wiem, nie znam się, zostawmy to lepiej specjalistom.

– Ile to będzie kosztowało, szefie? – dopytywała pani Kasia.

– Tniemy koszty, gdzie się da, dlatego ograniczyłem liczbę uczestników. Skoro to przypadkowe osoby, które się nie znają, nie możemy wymagać, żeby mieszkały ze sobą w pokojach dwuosobowych, a dopłata do jedyńki skutecznie zniechęci je do wyboru „Szmaragdowej przygody”. Niech zwycięzcy mieszkają jak paniska, a my sobie odbijemy na innych wyjazdach – zawyrokował. – To będzie grupa testowa: sprawdzą trasę, hotele... Na koniec imprezy damy im ankiety do wypełnienia i zgodnie z zawartymi w nich sugestiami zmodyfikujemy program.

Konkurs okazał się sukcesem, napisało o nim kilka gazet. Rudolf z uśmiechem wręczał kolejne vouchery na kwotę pięciu tysięcy złotych i cieszył się z dodatkowej reklamy. Po tygodniu od ogłoszenia wyników losowania na liście uczest-

ników znalazło się dziewięć osób i wtedy do „Hej Wakacje” dotarła smutna wiadomość.

Pan Antoni Śledziona, który jako pierwszy dał się przekonać do wyjazdu, odszedł na łono Abrahama w wyjątkowo niecodziennych okolicznościach. Dostał rozległego zawału serca po tym, jak funkcjonariusze CBS pomylili kamienice i o szóstej rano wyważyli drzwi do jego mieszkania. Powalony na podłogę Antoni Śledziona, wzorowy obywatel i emerytowany geodeta, został spacyfikowany przez gorliwych funkcjonariuszy, a protesty biedaka zostały skwitowane kulturalną odpowiedzią: „Stul mordę, bandyto!”. CBS przeprosiło w mediach za to „małe nieporozumienie”, a niedoszły turysta wylądował w trumnie.

Jakby tego było mało, na tamten świat zabrał się drugi zapisany uczestnik – pan Sylwester Mączyński, ale jego historia okazała się mniej dramatyczna, bo alkohol metylowy wykończył wcześniej niejednego porządneho chłopca.

Rudolf załamał ręce, ale brakowało czasu, żeby szukać zastępstwa, bo czekały go jeszcze burzliwe pertraktacje z Baronową Raszplą.

– Mówi się trudno, rezerwuje się dalej! – stwierdził z przekonaniem. – Tylko osiem osób plus pilot i kierowca. Tak będzie nawet lepiej, bo wciśnie się całą dziesiątkę do mniejszego busa i tym samym zaoszczędzimy na transporcie.

Lista uczestników została w końcu zamknięta. Pozostało odliczanie dni do wyjazdu.

– No to mamy komplet! – wykrzyknął uradowany Rudolf. – Zawołaj pozostałych, zaczynamy zebranie! –

zwrócił się do Kasi, ale ta ciągle stała w progu z niewyraźną miną.

– Szefie, mamy problem. Dzwoniła Barbara.

– I?

– Została przygnieciona przez słonia. Nie wróci ze Sri Lanki przez najbliższy miesiąc!

– Rany boskie, toż to tragedia! – wykrzyknął Stanisławski. Nie dlatego, że zrobiło mu się żal poturbowanej pilotki, ale dlatego, że to ona była w „Hej Wakacje” specjalistką od Wysp Brytyjskich. – Pani Kasiu, proszę zadzwonić do Anki. Będzie musiała przejąć Irlandię.

– Nic z tego, szefie. Jest w ciąży.

– Ciąża to nie choroba. Który miesiąc?

– Ósmy.

– To chyba latać może? – zapytał, chociaż z góry znał odpowiedź.

– Oczekuje narodzin trojaczków, więc wątpię, żeby się zgodziła. – Kasia parsknęła śmiechem. – Skontaktuj się z Bartoszem.

– Bartosz odpada. Za dobre sprawowanie wyjdzie dopiero w październiku. – Rudolf intensywnie myślał. – A Ha-linka?

– Przykuta do drzewa w Puszczy Białowieskiej.

– Na nikogo nie można liczyć! – pomstował Rudolf. – Zosia?

– Dochodzi do siebie po operacji powiększania pośladków – powiedziała z powagą Kasia. – Dajmy szansę Jędrkowi!

– Za duże ryzyko. Znowu nakradnie po hotelach i namy się wstydu.

– Szkoda. Taką ładną suszarkę mi przywiózł z Kanady. I dwa komplety ręczników...

– Pani Kasiu, proszę sobie nie żartować! – Pogroził palcem Rudolf, ale sam się uśmiechnął, bo dzięki pilotowi kleptomanowi też się nieźle obłowił. – Zerknę do notesu na czarną godzinę... – Zawzięcie wertował kartki. – Zygmunt nie, bo podczas ostatniego meczu wdał się w bijatykę i wybili mu przednie zęby... Aldona ma zakaz wjazdu do większości europejskich państw... O! Wojtek! Dlaczego wcześniej o nim nie pomyślałem?!

– Otrzymał dar powołania i przebąkuje o wstąpieniu do seminarium. Uparł się, żeby go wysyłać wyłącznie do krajów biblijnych! – usłużnie przypomniała Kasia.

– Aneta?

– Dostarczyła zaświadczenie od lekarza. Fobia, ciężki przypadek.

– Czego się boi? Może jakoś da się obejść...

– Owiec, szefie, owiec!

– Jasna cholera! Przecież to takie sympatyczne zwierzaki!

– Kilka lat temu zaciął się, biedaczce, odtwarzacz DVD i przez kilka tygodni oglądała wyłącznie *Milczenie owiec*...

– Krystian?

– Karmiony dożylnie.

– Chcę wiedzieć...

– Nie chce pan, szefie.

– Franek?

– Wciąż na bezludnej wyspie.

– Że jak?

– Bierze udział w tym przygodowym reality show.

- To pewnie nie ma sensu pytać o Gośkę?
- Zdjęcia do kolejnego sezonu *Warsaw Shore* jeszcze się nie skończyły, a po nagraniu i tak przez kilka tygodni będzie nie do życia.
- Ula?
- Żeni się w najbliższą sobotę.
- Mówi się: wychodzi za mąż, pani Kasiu.
- Wiem, jak się mówi, szefie, ale ona się żeni. Ze swoją dziewczyną. Przecież dostał pan zaproszenie na wesele w Amsterdamie.
- Faktycznie! Gdzieś się tutaj poniewierało... – Zaczął przerzucać papiery, które wały się po całym biurku. – Jest! Urszula i Anouk... Myślałem, że Anouk to imię męskie.
- Żeńskie, szefie.
- Przypomnij mi, żebym jakieś kwiaty wysłał czy coś... – zamruczał Rudolf, bo kończyły mu się imiona w notesie. – Alicja?
- Odeszła z zawodu. Teraz zasiada w zarządzie Polskiej Grupy Zbrojeniowej. Podobno zarabia tam kilkadziesiąt tysięcy miesięcznie.
- Myślałem, że skończyła kulturoznawstwo! Zna się na zbrojeniach?
- Zna odpowiednich ludzi, a to wystarczy.
- Skoro tak, to trochę żałuję, że nie byłem dla niej milszy. Pewnie by mi załatwiła państwową posadkę, a tak – muszę się z wami męczyć! – Rudolf udał oburzenie. – Hubert? Do tej pory nigdy mnie nie zawiódł!
- Jest w żałobie.
- Matko Boska! Po kim?!
- Po Zygfrydzie.

– Ktoś z rodziny?

– Pies rasy chihuahua.

– Litości! To biuro podróży czy dom wariatów?! – grzmiał Rudolf. – À propos, czy ktoś pamiętał o nakarmieniu lepszego sortu? – Spojrzał wymownie w stronę wielkiego akwarium, w którym pływały dwie rybki.

Zaledwie kilka miesięcy wcześniej były ich dziesiątki. Oso-biście zamówił zbiornik na Allegro, a w kwestii doboru rybek zdał się na użytkownika „AguaMaster”, który reklamował się jako „wybitny ekspert z wieloletnim doświadczeniem”. Po tygodniu liczba mieszkańców akwarium spadła o dziewięćdziesiąt procent, a wkrótce zostały tylko dwie. Rudolf się wściekł, że ktoś mu wcisnął pokrytych łuską kanibali, i postanowił obić mordę „AguaMasterowi”. Znalezienie oszusta nie nastąpiło mu trudności – płacił przelewem, więc miał adres gada. Niestety winowajca okazał się chuderlawym czternastolatkiem, a na widok rozjuszonego Stanisławskiego zlał się w spodnie. Rudolf machnął ręką i został z pływającą parą z piekła rodem.

– W tym tygodniu dyżur przy Jarku i Leszku pełni Wawrzyniec, więc szczerze wątpię. – Kasia podeszła do akwarium i nasypała pokarmu.

Podwodne potwory rzuciły się do jedzenia, jakby nie jadły od stuleci.

– Mam senne koszmary przez te rybki... – zaczął zwierzenia Rudolf, ale szybko się zawstydził i wrócił do tematu: – Nie mamy wyboru. Ściągniemy Tomka.

– Szefie, czy to aby dobry pomysł?

– Jest naszym najlepszym pilotem i kropka! Postanowione! Do Irlandii polecą Tomek Waciak!

Rozdział 3

Młody mężczyzna wdrapał się na niski podest i zwrócił do osób zebranych w przykościelnej salce:

– Cześć, mam na imię Tomek i jestem alkoholikiem.

– Cześć, Tomek! – odpowiedzieli uczestnicy cotygodniowego mityngu AA.

– Jestem trzeźwy od... – kontynuował wysoki brunet z burzą niesfornych loków i łagodnymi szarymi oczami – ...pięciu dni. – Ponownie policzył w pamięci. – Właściwie od sześciu, bo ostatnio strzeliłem tylko małe piwko, a przecież to się nie liczy, hi, hi, hi! – zachichotał nerwowo, ale nikt z obecnych mu nie zawtórował. – Przepraszam, publiczne wystąpienia mnie stresują.

– Spokojnie, bez pośpiechu. Jesteś wśród przyjaciół – dodawała mu otuchy terapeutka prowadząca spotkanie.

– Zacząłem pić dziesięć lat temu, bo wtedy zmarła moja matka – podjął Tomek. – Tylko cudem skończyłem studia, bo egzaminy zdawałem zalany w trupa, a na obronę pracy magisterskiej poszedłem na kacu. Chlałem ciągami, nie trzeźwiałem tygodniami, a potem nagle przestawałem i wracałem do względnej normalności. W końcu ojciec nie wytrzymał, zlał mnie na kwaśne jabłko i wysłał na przy-

musowe leczenie. Wtedy go przeklinałem, ale dzisiaj jestem mu dozgonnie wdzięczny. Wyszedłem na prostą, zrobiłem kurs na pilota wycieczek i życie wróciło do normy. Pięć lat temu zmarł ojciec i znowu wpadłem w ciąg. Zalewałem robaka przed pracą, po pracy, aż zacząłem zaglądać do butelki w trakcie roboty. Klienci pisali skargi, a czasami dochodziło do rękoczynów, ale za każdym razem wykręcałem się sianiem. Kradłem, bluzgałem, spóźniałem się, zapominałem, gdzie zostawiłem grupę, gubiłem bilety wstępu, kilka razy próbowałem wsiąść na pokład niewłaściwego samolotu, awanturowałem się w zwiedzanych obiektach... Aż... Boże, to straszne... Przeze mnie jeden z turystów spadł z punktu widokowego...

– Chyba czytałem o tym w szmatławcu... – wtrącił jeden z uczestników, ale pozostali go uciszyli.

– Byłam tak zawiany, że nie wiedziałem, co robię. – Tomek nie krył emocji. – Podstawienie nogi starszemu mężczyźnie, który próbował zrobić efektowne zdjęcie żonie, wydało mi się wtedy znakomitym pomysłem. On spadał, a ja głośno się śmiałem... – Otarł łezkę. – Tak mi wstyd. W gazetach pisali, że facet się potknął, ale to nieprawda. Całe szczęście, że tylko złamał nogę i nikt nie widział, co dokładnie zrobiłem. Gdyby turyści nie byli zajęci pozowaniem i łapaniem odpowiedniego światła, to trafiłbym za kratki. Szef bardzo mi pomógł, zatuszował, bo mógł zatuszować, i dał drugą szansę. Wziąłem się w garść, rzuciłem picie, ale programy wycieczek objazdowych są pełne wizyt w browarach, degustacji win i odwiedzin w destylarniach, a ja mam taką słabą wolę... – Znow otarł łezkę i powiódł spojrzeniem po

zebranych. Kiwali głowami ze zrozumieniem. – Staram się, naprawdę, walczyć z nałogiem każdego dnia. Dziękuję... – Próbował zakończyć wywód, ale nagle rozdzwoniła się komórka, którą trzymał w tylnej kieszeni spodni.

– Panie Tomku, wyłączamy telefony! – upomniała go terapeutka i pogroziła palcem.

– Strasznie państwa przepraszam. Czekam na ważną wiadomość ze szpitala – skłamał bez mrugnięcia okiem i wyszedł z pomieszczenia. – Słucham? – wyszeptał do aparatu. – Tak, rozumiem. Teraz? – Podrapał się po głowie. – Będę za dziesięć minut. – Zakończył połączenie i ruszył szybkim krokiem w kierunku biura podróży, z którym współpracował od kilku ładnych lat.

Tomasz Waciak lubił spacerować po Bielanach. Od kiedy zabrali mu prawo jazdy za prowadzenie po pijaku, po dzielnicy przemieszczał się wyłącznie na piechotę. Tak było nie tylko wygodniej, ale i taniej, bo jako pilot wycieczek zagranicznych nie zarabiał przecież kokosów. Tomek minął właśnie barek „U Wujka” i ostatkiem sił powstrzymał się, żeby nie skoczyć na jednego. Gdyby tylko w okolicy nie pootwierali tylu sklepów monopolowych, pomyślał ze smutkiem. Na prawo „Alkohole 24/7”, na lewo „Bajeczna popijawa”, a na wprost majaczył „Róg nietrzeźwości”.

Nie pozostało mu nic innego, jak spuścić oczy i przyspieszyć kroku. Jeszcze dwieście metrów, sto, pięćdziesiąt. Uff, dotarł na miejsce.

Coś się zmieniło, od razu to zauważył. Odblaskowe „G” dawało po oczach. Tomek zaśmiał się w duchu. „Gej Wakacje”? Kto by się spodziewał?!

Właśnie przekraczał próg biura, kiedy zderzył się z panią Kasią.

– O, już pan jest! – krzyknęła na jego widok. – Szef czeka! Proszę się pospieszyć! – Popchnęła go w kierunku gabinetu Stanisławskiego.

– Pali się, pani Kasiu? – zażartował, ale sekretarka nawet się nie uśmiechnęła.

– Gorzej, panie Tomku, znacznie gorzej! – I chciała coś dodać, ale na korytarzu pojawił się Rudolf.

– No jesteś! – zwrócił się do pilota. – Wchodź! – Zaprosił gestem do środka. – Pani Kasieńko, dwa szatany proszę. Bez kofeiny nie damy rady!

Tomek, siadając w fotelu dla interesantów, zdenerwował się nie na żarty. Zostało mu sporo wolnego czasu. Wyjazd do Prowansji zaplanowano na ostatni tydzień września. Skoro szef wezwał go teraz, coś się wydarzyło.

– Mamy nóż na gardle! – zaczął Rudolf. – Barbara nie zdąży wrócić ze Sri Lanki, a ja na gwałt potrzebuję pilota na „Szmaragdową przygodę”.

– Ale... – wtrącił się Tomek, jednak nie dane mu było dojść do słowa.

– Wiem, chłopcze! Kierunek ci nie pasuje, słabo znasz angielski i w życiu nie odwiedziłeś Irlandii, ale to musisz być ty! Do wyjazdu zostało kilka dni, nie ściągnę nikogo innego. Nie prosiłbym cię, ale nie mam wyboru. W końcu jesteś profesjonalistą. Co za różnica, jaki kraj odwiedzasz? Poczytasz sobie przewodnik, mam dla ciebie przygotowane materiały...

– Błagam, szefie, ja nie chcę... – załkał Tomek. – Ojczyzna whiskey i guinnessa? Z moimi... problemami?

– Wierzę w ciebie, Tomek. Przecież nie pijesz od...?
– Siedmiu miesięcy – odruchowo skłamał.
– Proszę, proszę! Piękny wynik. Gratuluję, chłopcze!
Wiedziałem, że staniesz na nogi!

– Czy oni tam nie mają najwyższego na świecie spożycia alkoholu w przeliczeniu na jednego mieszkańca?

– Aleś wymyślił, Tomek, no naprawdę...

– Czytałem o tym w internecie!

– Masz nieaktualne dane! Proszę, przygotowałem wydruk. – Rudolf trzymał w ręku wymiętą kartkę. – Irlandia jest dopiero na czwartym miejscu! Czwartym! To nawet nie podium! Widzisz? Austria, Czechy i Niemcy, a dopiero potem Szmaragdowa Wyspa!

– Niemożliwe... Widziałem przecież...

– Może pomyliło ci się z tym: najwyższa konsumpcja herbaty! W tym rankingu faktycznie przodują! Rocznie tyśiąc sto osiemdziesiąt cztery filiżanki na osobę! Herbatę lubisz?

– Lubię, pewnie, dlaczego miałbym nie lubić, ale...

– No widzisz! I po kłopotcie! Poradzisz sobie, bez dwóch zdań! A w programie zaplanowaliśmy tylko jedną destylarnię...

– Którą? – wyszeptał, bo jego ukochanym napojem wyskokowym był trunek z logo Old Bushmills.

Whiskey stała się jego słabością. Jedną z wielu, rzecz jasna. Destylacja tego życiodajnego płynu rozpoczęła się w Irlandii przeszło tysiąc lat temu i od tego czasu pretendowała do miana sportu narodowego. Za alkoholową ambrosję wyczarowywaną z przefermentowanego zacieru zbożowego

z dodatkiem drożdży, która latami leżakowała w drewnianych beczkach, nabierając niepowtarzalnego smaku i aromatu, dalby sobie obciąć mały palec albo i dwa. Niektórzy woleli szkocką, co Tomka bardzo dziwiło, bo w smaku przypominała mu detergent. Wiedział, o czym mówi. Parę razy na kacu sięgnął po butelkę różowego płynu i nigdy nie zapomniał tego smaku, chociaż usilnie próbował.

– No którą? – powtórzył pytanie.

– Old Jameson.

– Uff, co za ulga...

– A nie, mieliśmy problem z terminem. – Rudolf sprawdził w papierach. – Stańło na Old Bushmills.

– Matko Boska...

– Raptem pół godzinki, nie licząc samego spożycia! Jakiś przetrzymasz!

– Ale...

– Żadnego „ale”! To nie jest nawet prawdziwy wyjazd. Pomyśl sobie, że zaliczasz występ przedpremierowy. Rozpoznasz teren, zweryfikujesz trasę, sprawdzisz wszystko na miejscu. Klientów wycieczka nie będzie kosztowała ani grosza, więc nie powinni psioczyć na niedociągnięcia.

– Mogę zobaczyć listę uczestników?

– Tomeczku, po co masz sobie zawracać tym głowę.

– Proszę!

– Prześlę ją przed wylotem...

– Szefie, chcę zobaczyć listę! – nalegał Tomek, bo czuł, że Rudolf coś ukrywa.

– Spokojnie, po co te nerwy? Proszę, oto ona! – Dyrektor wręczył pilotowi kartkę z ośmioma nazwiskami.

– Baronowa Raszpla?! – wykrzyknął pilot. – Nie ma mowy, szefie. Za żadne pieniądze. Po ostatniej wycieczce z tą harpią zapisałem się na dodatkową terapię. Wciąż mam koszmary! Ile ona na mnie skarg napisała? Dwanaście?

– Czternaście, ale kto by liczył? – zaśmiał się Rudolf. – Bądź mężczyzną! To tylko wiekowa dama o wysokich wymaganiach, którym bez problemu sprostasz. Dlaczego? Bo jesteś najlepszy! I trochę szacunku dla starszych! W końcu mąż Downar-Wiśniowieckiej walczył w powstaniu.

– W którym?

– A cholera go wie! Styczniowym, śląskim albo wielkopolskim. Co za różnica?!

– Szefie... – próbował Tomek, ale bezskutecznie.

– Przykro mi, ale klamka zapadła. Tutaj masz szczegóły, wykuj na blachę.

Tomek jęknął i przez chwilę rozważał zalanie się łzami tudzież wyznanie całej prawdy na temat rzekomej abstynencji, ale jeden rzut oka na zaciętą twarz Rudolfa wystarczył, żeby porzucił wszelką nadzieję.

Nie miał innego wyjścia – musiał polecieć do tej choleralnej Irlandii.